OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. I. — NR. 6.

15 WRZEŚNIA 1935.

STEFAN FLUKOWSKI: ANKIETA
JAN BRZĘKOWSKI: ANKIETA
MARJAN CZUCHNOWSKI: ANKIETA
STEFAN NAPIERSKI: CHLEB I GWIAZDY
K. I. GAŁCZYŃSKI: APOLLO
JAN BRZĘKOWSKI: ZAMKNIĘTY WJAZD
PAWEŁ HERTZ: POEMAT
WŁODZIMIERZ PIETRZAK: CIESZYN
LEON MACHTINGER: WŁÓCZĘGI
CZESŁAW JANCZARSKI: LATO NA WSI
ALICJA IWAŃSKA: NA KRYWANIU
STANISŁAW PIĘTAK: MIT MŁODOŚCI
WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI: ROZWALAJĄ PŁOT
HENRYK DOMIŃSKI: WSPOMNIENIE
TADEUSZ BOCHEŃSKI: LOTNIK
JAN KOTT: OCZY OTWORZYĆ
STANISŁAW TURCZYN: RANO W GDYNI
RECENZJE
NOTY

REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.
ADMINISTRACJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. ZAMKOWA 4.

WYMIANA POGLĄDÓW

DALSZY CIĄG ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

VIII.

Odpowiedź moja na ankietę Redakcji „Okolicy Poetów" nie będzie może szła ściśle po linji podanych tam pytań. Myślę jednak, że z nich wynikając, aczkolwiek dotknie nieco ubocznych tematów, przecież zwiąże się ściśle z postawionemi zagadnieniami, będącemi naprawdę szeregiem żywotnych i aktualnych spraw współczesnej poezji polskiej.

Jeśli chodzi o pytanie pierwsze, to sądzę, że ścieranie się t. zw. „awangardy" z „passeistami" w dążeniu do pełniejszego i doskonalszego wyrazu jest sprawą życia. Zwalczanie się i ciągła rewizja osiągniętych zdobyczy są warunkiem postępu. Muszę zaznaczyć, że określenia zarówno „awangarda" jak i „passeiści" są wartościami w pięćdziesięciu procentach użytkowemi. Są to wygodne, a więc poręczne w użyciu, skróty.

Jak w jednym tak i w drugim obozie panuje wielki chaos, jeśli chodzi o wyznanie wiary i o praktykowanie. Możnaby wyliczyć cały szereg poetów należących rzekomo do „awangardy", którzy są typowemi okazami „passeizmu". I naodwrót, wśród pogardliwie zwanych „strofkarzy," t.j. „passeistów" spotkać można poetów — niewielu, to prawda — reprezentujących dużą śmiałość poczynań, a więc „awangardyzm".

Ponieważ, jak zaznaczyłem, zmaganie się tych dwóch kierunków jest naturalnym procesem życia, muszę odrzucić podejrzenie, jakoby degeneracja miała być istotną przyczyną walki. Wogóle zadużo się dziś mówi o degeneracji. Wszyscy chorują na nadmierne poczucie siły. Siebie najchętniej uważa się za okaz siły i zdrowia a innych kwalifikuje się bez wahania jako okazy degeneracji.

Zostawiając na boku tę sprawę muszę wyznać, że ani jedna ani druga strona nie wydaje mi się predysponowana do zwycięstwa: „passeiści" — bo schodzą, „awangarda" — bo nie dojdzie. Jest ona za wąska, dłubiąca, obstająca z uporem przy swoich nazbyt może drobiazgowo pomyślanych teorjach. Brak rzutkości wyobraźni, zawikłana ornamentyka szczegółów i jeszcze jeden ważny brak — poczucia humoru dopełniają listę zasadniczych i najogólniejszych wad tego kierunku.

A „passeiści"? Tam znowu daje się odczuć brak samodzielności i własnej, wypracowanej porządnie ideologji, aintelektualizm, nadmiar produkcji (stąd grafomanja na tonny i tłumy grafomańskich epigonów). A jednocześnie cechuje ich błyskotliwość, dowcip, lekkość i przystępność niemal prymitywna w łatwości dla czytelników, oraz wirtuozerja — w granicach wąskich, ubogich coprawda — zdobyczy formalnych.

Poziom współczesnej poezji polskiej może podnieść jedynie praca wewnętrzna samych poetów. Ale tylko do pewnego stopnia. Z pracy bowiem najbardziej rzetelnej nawet, nie zrodzi się wielkość. A musimy sobie powiedzieć jasno, że dzisiaj nie mamy w Polsce poety wielkiego ani wśród starszych ani wśród młodszych. Są tylko poeci wybitni. Niema indywidual-

ności pełnej. Są tylko ułamkowe. Ludzie - fragmenty, poeci - kolumny. Który z nich potrafi zjednoczyć rozdarte dzielnice poezji: myśl głęboką, nieskrępowaną grę wyobraźni, śmiałość przekonań (bez minimalizmu uporu), wreszcie wysokie moralne poczucie w odniesieniu do każdej sprawy ludzkiej.

Sprawa konsumcji i konsumentów jest też dla życia poezji polskiej sprawą bardzo ważną. Tu należałoby przedewszystkiem kształcić i jeszcze raz kształcić oraz rozbudzać estetycznie. Aplikować konsumentom, czytelnikom i laikom seminarja, wykłady, wieczory recytacyjne, mądrą a szlachetną krytykę. Nauczyć, przyzwyczaić do niezbędności czytania poezyj. Niekoniecznie w wielkich ilościach, ale do czytania uważnego, porządnego, które potrafi dać czytelnikowi trwałe przeżycie, pozostawi w nim na długo ślad nieśmiertelnej myśli.

Podnieśliśmy kilka wierszy wyżej potrzebę mądrej, szlachetnej krytyki dla czytelnika i konsumenta. Taka sama krytyka winna cieszyć i twórców. Niestety, krytyka polska w dziedzinie poezji jest niedołężna, tendencyjna, głucha na samą istotę tej trudnej sztuki, częstokroć płytka i pozbawiona pierwiastka etycznego i harmonijnego. Krytyka ta nie jest twórczością i walką, jest małostkowem dogryzaniem lub zręcznem żonglowaniem na kanwie pewnych odcinków danego utworu zapasami poszufladkowanych, odmierzonych wiadomości z dziedziny poetyki.

Przypisując te smutne cechy naszej myśli krytycznej w zakresie poezji muszę przyznać, że i dawniej nie działo się lepiej. Może płynie to stąd, że Polacy naogół nie są narodem intelektualistów, a w dodatku wrodzona lekkomyślność w formowaniu sądów nie pozwala na zrealizowanie pełnej linji myślowej, konsekwentnie postawionej, rozwiniętej i do wiadomego końca doprowadzonej.

Za najwybitniejszych poetów chwili obecnej uważam: Czechowicza — najczystszy liryk, Gałczyńskiego — najzupełniejszy, stuprocentowy poeta - żywioł, Miłosza — najgłębszy i najbardziej niezależny od współczesnych mu, wreszcie Przybosia — u którego zamierzony eksperyment staje się osiągnięciem, dokonaniem. Ci czterej poeci wysuwają się na czoło dzisiejszego stanu poetyckiego w Polsce. Może to się wkrótce zmienić, ale w chwili obecnej wydaje mi się, że tak właśnie jest. Wymieniłem tylko t· zw. „awangardystów", o „passeistach" milczę nie dlatego, bym wśród nich wybitnych poetów nie widział. Ale sam będąc „w walce", muszę akcentować to, co wydaje mi się obrazem postępu, kierunkiem słusznie wybranym, siłą prawdziwych indywidualności.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę, że jakość jest znamienną cechą poezji: stąd nie ilość konsumentów robi poecie imię i dzieło twórcze czyni wyrazem życia zbiorowego, ale zapał i intensywność przeżyć owych nielicznych. Ich duch płomienny stwarza nowe źródła sił dla twórczości jednostki. Poezja to sprawa wnętrza ludzkiego. A entuzjazm w pracy wewnętrznej jest udziałem nielicznej garstki. Nie należy się więc płoszyć tem, że entuzjastów jest garstka. Zawsze i wszędzie ona była motorem masy.

STEFAN FLUKOWSKI.

IX.

Pragnąłbym przedewszystkiem zaznaczyć, że rozróżnienie: poezja stara i poezja eksperymentalna (awangarda): — nie ujmuje samej istoty rzeczy. Tego rodzaju przeciwstawienie może pozatem przyczyniać się do podtrzymywania przesądu, że t. zw. poezja awangardowa jest poezją tylko eksperymentów a nie — pozytywnych osiągnięć. Wydaje mi się również, niesłuszne postawienie pytania, czy rozdźwięk między starą a nową poezją jest wynikiem przemian ewolucyjnych czy też wyrazem degeneracji jednej lub drugiej strony. Wyraz degeneracja, użyty w zapytaniu, wpływa bowiem w pewnym określonym sensie na treść odpowiedzi. — Czyż trzeba po tem dodawać, że nowa poezja jest wynikiem „ewolucyjnej rewolucji", t. zn. nagłego wybuchowego przyspieszenia pewnych tendencyj oddawna leżących na linji rozwoju epoki?

Powie ktoś, ze przywiązuję nadmierną wagę do terminologji. Być może. Ale terminologja jest zazwyczaj wytworem krytyki, jest monetą obiegową, wyrażającą wartości poezji. Krytyka wprowadziła już wiele fałszywych złotówek, pięknie brzmiących, ale mimo to — nie ze srebra. Każdy k. w. z. sądzi dziś, że jest G. B. S-em, i uważa, że ma prawo do fałszowania walorów epoki i akredytowania pewnych legend bez pokrycia. A gdy fałszywy bilon znajduje się już w obiegu — nie mogą go już rozróżnić ludzie uczciwi i sami się nim posługują. Krytyka polska nie może już twierdzić, że nie rozumie pewnych rzeczy i dlatego chcąc ratować siebie puszcza w kurs fałszywą monetę. Krytyka jest nieuczciwa i myśli staremi szablonami: jest pozbawiona wszelkiej wyobraźni. Dlatego nie może zrozumieć nowej poezji, do której potrzeba: n o w e j wyobraźni. Przyczyną trudności nowej poezji jest jej inność myślenia poetyckiego, inność wyobraźni, a nie — nagromadzenie metafor.

Sądzę jednak, — i tu przechodzę do p. 2 ankiety — że można wpłynąć na bieg wyobraźni poety, a co za tem idzie — na jakość i ilościowe nasilenie poezji. Jak? Sposobów jest chyba conajmniej tuzin: przez dostarczenie poezji wielkiej idei, przez stworzenie jakiejś polskiej „piatiletki" poetyckiej i społecznej, (do sprawy tej wrócę jeszcze w przyszłości) przez podniesienie standartu życia szerokich mas i uwolnienie poezji od zbyt bezpośredniego nacisku zagadnień społecznych, przez wymianę poetów między poszczególnemi mastami i środowiskami tak by np. poetów z Krakowa przesiedlać na pewien okres czasu do Wilna, a poetów wileńskich w Tatry lub na Górny Śląsk, przez podniesienie kultury plastycznej wśród poetów, przez zapomnienie o istnieniu literatury polskiej w latach od 1900 - 1920, przez...

O ile punkt 3 ankiety służy do robienia sobie wrogów, o tyle punkt 4 — może jednać przyjaciół. Powstrzymałem się od wyzyskania p. 3, nie wypada mi więc obecnie korzystać tylko z p. 4. Najwięcej jednak miałbym oczywiście do powiedzenia w p. 5: inne uwagi. Zarówni natury ogólnej, jak osobistej. Nie mogąc zabierać zbyt wiele miejsca i rozpychać się łokciami w „Okolicy poetów" — odkładam to do następnego razu, względnie — następnej ankiety.

JAN BRZĘKOWSKI

X.

Wcześniej absolutnie nie byłem wstanie odpowiedzieć ze względów... zupełnie ode mnie niezależnych.

1. Poezja eksperymentalna nie zawsze jest niestety awangardową. I naodwrót większość dzieł poetyckich awangardy w Polsce i zagranicą nosi już dziś piętno najzupełniej klasyczne. Zamierzony początkowo eksperyment stał się pozycją wzorową. Dzieła te nadają się do wydania nowoczesnej Bibljoteki Klasyków Awangardy. Awangarda krakowska jest owocem swego rodzaju przewrotu poetyckiego; wybuchem protestu (ostatniego historycznie) nowych sił poetyckich stojących na platformie ideologji nowoczesnego mieszczaństwa przeciw również burżuazyjnemu frontowi artystycznemu, ale zmobilizowanemu z reakcyjnych niedobitków starej, przedwojennej generacji oraz jej niewolniczo oddanych epigonów ze „Skamandra". Awangarda była rezultatem pewnej rewolucji, która chociaż nie złamała całkowicie reakcyjnego wpływu „Skamandra", to jednak wywalczyła dla siebie pełne prawo do życia, opierając się na własnej bazie czytelniczej, którą obsługiwała z biegiem czasu coraz lepiej i energiczniej.

O ile ten przewrót i jego skutki zredukujemy nawet do nazwy — rozdźwięk — pod tym terminem rozumieć należy nie jakiś spór lokalny, ale przełom, swoistą rewolucję poetycką rozdzierającą dotąd względnie jednolitą warstwę polskich, mieszczańskich pisarzy, na dwa wrogie poetycko obozy. Należałoby rozróżniać dokładnie między sobą awangardy. Widzę najmniej trzy: a) powojennego, nowoczesnego mieszczaństwa wyrosłego na drożdżach spekulacyj z pierwszych lat niepodległości, b) proletarjacką, c) chłopów. Obie ostatnie — (b) i (c) są w ostrym konflikcie z pierwszą (a), walcząc przeciw niej wspólnym frontem poezji ludowej, sztuki robotniczo - chłopskiej. W dużym błędzie są ci, którzy mieszają wzajemnie te dwa obozy nowoczesnej sztuki w Polsce, a mianowicie: awangardę nowoczesnej burżuazji z awangardą nowoczesnych robotników i chłopów. Są to dwie zupełnie obce sobie organizacje nowoczesnej sztuki, nie mające ideologicznie ze sobą żadnych cech wspólnych. Widzimy więc, że zachodzi tu mówiąc językiem ankiety — rozdźwięk — nietylko pomiędzy nowoczesną literaturą mieszczaństwa (awangarda) a sztuką starego mieszczaństwa („Skamander"), ale przeciw obu powyższym staje nowoczesna poezja współczesnych robotników i chłopów, czyli nowoczesna poezja ludowa, mająca ambicję nietylko pełnej realizacji rzuconych przez mieszczańską awangardę, a nieurzeczywistnionych z różnych przyczyn i powodów, bojowych haseł nowopoetyckich, ale wyprowadzenie sztuki uświadomionego klasowo chłopstwa i robotników na takie szczyty, jakich nie osiągnęła aktualnie nowa sztuka mieszczaństwa.

2. Okoliczności, któreby mogły podnieść poziom współczesnej poezji polskiej przewidziane są w całości w Kodeksie Karnym.

3. Mieszczańska krytyka poetycka wobec poezji robotniczo-chłopskiej nietylko nie spełnia właściwego zadania, ale go spełniać nie może. Ona spełnia tylko swe zadanie wobec mieszczaństwa. Tzw. krytyka formalna, na którą teoretycznie mieszczaństwo chętnie się godzi, w praktyce jest bukietem z drutu kolczastego. Gdyby istniała w klasowym ustroju w praktyce

taka krytyka, pierwszeństwo mieliby we współczesnej poezji chłopscy poeci i robotniczy wraz z awangardą nowoczesnego mieszczaństwa, a nie niedobitki poezji feudalno - burżuazyjnej. Krytyka zaś robotniczo - chłopska nie może spełniać swego właściwego zadania w obecnej Polsce wobec poezji mieszczańskiej tylko dlatego, że nie może rozwinąć w pełni swego aparatu z powodów od niej zazwyczaj niezależnych, a wszystkim zbyt namacalnie znanych. Czego żądam od krytyka? Żeby posiadał przynajmniej taką inteligencję jak oceniany przez niego poeta!

4. Żadnego utworu poetyckiego z ostatnich lat nie wyłączając kwitów podatkowych nie uważam za niezależny. Jak rozumieć niezależny utwór poetycki? Od czego i kogo niezależny? Od położenia kraju, choroby, głodu, podatków, przymusu służby wojskowej, kanalizacji, terroru nacjonalistycznego, ucisku, gwałtu, przemocy, nędzy, wiedzy, kultury, systemu rządzenia, żony, uwięzionej rodziny, klasy społecznej czy ich związku, ustroju?! Poeci i ich utwory są od tego wszystkiego zależni!

Awangarda mieszczańska była i jest całkowicie zależna od mieszczaństwa; związana z niem ekonomicznie, politycznie i artystycznie. Awangarda chłopska i proletarjatu związana jest z obecnem położeniem gospodarczo - prawnem chłopów i robotników, jako klas społecznych. „Zwrotnica" była związana i zależna od rozwoju nowoczesnego kapitalizmu; chciała mu przodować, chciała go przecież nawet uszlachetniać, uzbrajać w nowoczesny mózg; apelowała (bezskutecznie) do jego nowoczesności; głosiła hasło nowości w przeciwieństwie do „Skamandra", któremu w zupełności wystarczał Słonimski. „Zwrotnica" chciała burżuja oświecić; urządzić go z aeroplanem i centralnem ogrzewaniem. Zrośnięta była z istotą nowoczesnego kapitalizmu i jej postulaty artystyczno - polityczne były najściślej kapitalistyczne, łącznie z formalizmem rewolucyjnym. Była to jednak naprawdę sztuka mieszczańska wysokiej klasy; dziś niewątpliwie już klasyczna.

Poeci „Zwrotnicy" istotnie zamknęli rozwój poezji kapitalistycznej swego rodzaju przewrotem. Była to nie degeneracja, ale odrodzenie. Ale ponieważ wszystko ma swój koniec i to chwilowe, żywe odrodzenie poezji mieszczańskiej należy dziś już do przeszłości. Świetne książki: Peipera, Przybosia, Kurka, Ważyka, Brzękowskiego, Czechowicza, oraz młodych gwiazd, już swój okres burzy i naporu zamknęły w sobie bezpowrotnie. Problemy artystyczno - polityczne, które poruszaja oni w swych najświeższych książkach są tylko powtórką krótkiej i zwięzłej młodości. Dziś kurczą się oni i wysychają odcięci od swych pierwotnych zródeł wraz z kapitalizmem. Uratować życiowo i artystycznie mogłaby ich przed zupełnym zanikiem rdzenia poetyckiego nowa, surowa walka; natychmiastowe porzucenie szeregów mieszczaństwa, o ile uświadomiliby sobie teoretycznie rozwój dziejowy społeczeństw i opowiedzieliby się praktycznie za proletarjatem i chłopami. Przeżyliby prawdopodobnie świeży, bujny okres regeneracji.

Oczy naprawdę radykalnych warstw społeczeństwa skierowane są obecnie w stronę nowej siły poetyckiej w Polsce: poetów robotniczych i chłopskich. Awangarda robotników i chłopów, która formuje się teraz, da Polsce robotniczo - chłopskiej swych prawdziwych, nowych pisarzy. Te bojowe ideały poetycko - polityczne, które początkowo przyświecały demokratycznym poetom burżuazyjnym, a które potem zostały przez nich zdra-

dzone, lub porzucone, muszą być obecnie zrealizowane przez awangardę robotniczo - chłopską i wyniesione naprzód, jako dopełnienie historycznego rozwoju. To czego nie umieli, nie mogli, lub zczasem niechcieli urzeczywistnić nowocześni poeci mieszczańscy musi za nich zrobić nowa sztuka ludowa, rozpalając nowe pożary poezji.

Płomień rewolucji poetyckiej wzniecony przez krakowską awangardę został następnie haniebnie przez nią zmarnowany. Ogień poezji uwięziony w sentymentalnych pejzażach zasnuł swym dymem krakowską okolicę poetów. W tym trującym dymie nastrojowej jesieni poezji mieszczańskiej zdradzono haniebnie swe początkowe ideały i człowieka nowoczesnego. Właśnie człowieka pracy, dla którego to pierwotnie przeznaczone były te burzliwe wiersze; miłość zmiany i nowości; postulat nowoczesności; walki. Ci sami poeci, którzy początkowo mieli heroiczną ambicję przebudowywać Polskę na nowoczesny kraj sprawiedliwości społecznej, teraz kończą na śpiewach o staroświecczyźnie Rzeczypospolitej, nastrojowych szumkach — dumkach, balladach geograficzno - botanicznych. Utracony sztandar walki i zagubiony heroizm podnieśli z ziemi poeci robotniczo - chłopscy, którzy go nigdy nie zdradzą.

Byt ich jest jednak inny od bytu pisarzy mieszczańskich. Poezja bowiem robotniczo - chłopska jest sztuką wyklętą. To, co dochodzi normalnego czytelnika jest zawsze strzępem wielkiej poezji złamanej przez przemoc i złe warunki. Ale nie znaczy to, żeby jej niebyło. Grzmi ona potężna w swych łożyskach, chociaż zmuszona jest unikać burżuazyjnych reflektorów.

5. Inne uwagi, które mi się nasuwają, odsyłam do rubryki 2.

MARJAN CZUCHNOWSKI.

K. I. GAŁCZYŃSKI

APOLLO

Rankiem na ulicy Młynowej,
gdy się jeszcze przytulamy do siebie,
żona podnosi znad poduszki głowę
i mówi: patrz: Złoty Chłopczyk na niebie!

W południe, gdy kot w czarne grochy
do kościoła idzie po murze,
żona, piorąc pończochy,
powiada: patrz: Srebny Chłopczyk na chmurze!

A wieczorem znowu jak zrana.
Gdy się uciszy w ogrodzie,
znowu dziewczyna kochana:
— Popatrz — szepce — Niebieski Chłopczyk
[na zachodzie!

STEFAN NAPIERSKI

CHLEB ORAZ GWIAZDY

Niedotykalny trwasz; tak trzeba. Stokiem
Spływają ludzie na skrzydłach drewnianych;
Na obolałych barkach wiatr ich niesie
Jak tytanidów, co sprostali chmurom.
Przemija dzień w tem uroczysku siwem
I mchem przestrzeni rozrasta się w dymach:
Strumień zagłady ponad lodozwałem!
Kula ciosana ze szkła, wiatru jękiem
Po brzegi wypełniona, niby wargi,
Pod które krew podpływa, otwór krągły,
Krztuszący się cierpieniem, ciepłym śpiewem:
Nad horyzonty gór ten jęk złocisty!
Pojmij, jak trudno jest z wełnistych puchów
Wyciągać ręce zgrabiałe ku wargom,
Przytykać palec do ócz zamrożonych,
Zwolna szczelinę rozwierać powieki,
Jak dziurę fletu — i rzęzić westchnieniem.
To jak czeluście snu; mroczno - zielone
Konary świerków, bielą obciążone,
Gałęzie sztywne, wilgotne, jak chargot,
W spirale przełamują się, igliwie
Wyrasta w śruby niebios. Windo ziemi,
Tłocząca nas ku gwiazdom, nieruchomych!
Zmierzch skrzydłem kraje zbocza, jak melodja
Szarpana wiatrem, wielkim czarnym żaglem
Na płótnie nocy wskos unosi w leje
Walczących z obłokami, postarzałych
O szron policzków. O, lawino zmroku,
Ze szczytów siwych waląca się w przestwór,
Jaki ci podać wtór? Jak złożyć wargi,
Aby czystością wibrującą głosu
To zrównoważyć? Zpoza szyb domkniętych
Na smudze cienia trójkątny klin blasku
Wzywa, jak echo; nad obrusem stołu
Jest spokój, żniwo śmierci, ostateczność.
Dyszące serce, jak szczęście agonji,
Paruje tamtym z ust, tu kłuje cisza.
Chleb oraz gwiazdy. Komu też wybierać?
Niedotykalny trwasz. Giną śmiertelni.

JAN BRZĘKOWSKI

ZAMKNIĘTY WJAZD

Kiedy — czasami nachylisz tlejący gąszcz wspomnień
oczyma zamkniesz widnokrąg kolczasty jak jeż
dymy
wzrastają nad chmurami, ponad chmury parują gęste i czarne jak brwi
i w oczy wbijają rytmem rozjaśnień czerwienień uderzeń
zachód — krwawiący bodący jak
cierń.
słów prostych nie powstrzyma na wargach przestrach watą najeżony krzak
jak ptaki — wygnieżdżone w horyzont — srebrem opada na pola
spopielałe w sen.
A przecież wtedy
gdy wieczór mrozem błyszczał zgubiony wśród planet i gwiazd
niebo ciężkim granatem do ust się chyliło jak jabłko
fortepian szumiał srebrem oszroniały strumień
przepływem marzeń strumień zaszumień
i serce podnosił jak sztandar
wysoko -- ponad kolejową stację i otwarty wjazd
skąd
pociąg wypływał, zgrubiały i długi, jak wąż.
W ten wieczór — nad stacją na froncie komunikaty wieściły spokój myśli
[wybuchały w płomień
jak płomień reflektoru, który zalewał niebo dalekie i sine — srebrny metal
w ten wieczór — chłodny jak rtęć
piętnastoletni chłopak
żar chłodził w piersiach, rozlewał się lęk szczękający
zębami
jak gwiazda horyzontu, zamknięta — pod nieowłosioną pierś.
na peronie stał profesor — nie ukłoniłeś się mu — nie miałeś ani czasu
[ani czapki
zdumionym wzrokiem spoglądał w gorejącą twarz
pędziłeś drogą ponad rzeką i cegielnią w ciemność zbudowaną z cegły
gdy [i gwiazd
nagle
rozdarł się wieczór w przeraźliwy gwizd — zamknięty wjazd
i
jak porażony błyskawicą
przypadł do ziemi.
w ziemię się wdrapywałeś
palcami — pazurami — drapieżnemi
wgłąb.

PAWEŁ HERTZ

POEMAT

I. Zagajniki pod wieczór bronzowe,
wiatr szumi — dźwięcząca lira.
Ociężałą od snów głowę
na piersi twoje schylam.

Dzień — niecierpliwy rybak
zarzuca sieć.
Gwiazdy zielone ryby
przepływają niebem na skos.

II. Śpiewy od łąk. Znów się budzę
najpiękniejszych szukając warg.
Poprzez szum wiatru — daleka woń
jabłek, gnijących w komodzie.
Razem z tobą, Fryderyku, najszczęśliwszy z ludzi,
przebiegam park
i drugie gwiazdy widzę na zielonej wodzie.

III. Znów pożegnania pasterska idylla,
noce podobne nocom twej młodości...
Fryderyku! Wiatr idzie i drzewa pochyla
i nas owiewa tchnieniem ostatniej miłości.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

CIESZYN

Juljanowi Przybosiowi

Woda z jaru biało się rzucała
za rzeką obce światła darły ciemność
by cicho patrzeć w nagie ciało Olzy
drzewa

słuchać
wysokie serce łopotało o pierś mocno
róża czerwona o ostrych kolcach
krwią mogła uderzać i we krwi kwitnąć

dłonią przygarnąć milczący lunatyzm

widma kołysze jeden wiersz
wtedy usną w ulicy jawory jak drzewa
i brwi ściągnie noc

mały kot się dźwignie z niskiego posłania
matkę ciepłą porzuci płaczem i śpiewem
na chłodnym bruku jesieni dmącej poszuka
za co ganić naprawdę

Kiedyś pragnąłeś
w szybkich oddechach wiatru wiosną biegłeś jakby pożarem
gasł w schnącej zieleni zamek i gasła rzeka
jak odchodzący czas
to
Broń oknem patrzyła w wzbierający wschód

Aż cię kasztan kwitnący zatrzymał u morza
i morze oczu

LEON MACHTINGER

WŁÓCZĘGI

1. Słońce jest nam dalekim chlebem.
Drzewa przy drodze wachlują cieniem.
W dzień idziemy pod ceglastem niebem.
Noc jest u szyi czarnym kamieniem.

Księżyc jest nam kobietą daleką.
Przydrożne chmury łapią za włosy.
Modlą się czarne wiatry. Chwieją się sine kłosy.
Krzyczymy. Droga jak trumny zamknięte wieko.

2. Świt nas spotyka niebieskim dzwonem.
I z ziemi rosną czerwone krzyże.
Biedni chłopi klęczą. Witają pokłonem
Wszechmocny wiatr, który nam — pięty liże.

Dzień nas częstuje śniadaniem z zapachów.
Bierzemy w usta las — pierś przestrzeni zieloną.
I bronzowe koguty pieją nam z wiejskich dachów.
Już nie chcemy chodzić tędy. Idziemy inną stroną.

A nocą patrzą nam w oczy przydrożne duchy.
I dzwon spod ziemi gra dźwiękiem głuchym.
I drzewa za ręce chwytają. Stać każą.
A wokół nas garbate góry, ciemne rzeki, czarne drogi — łażą.

Łażą. Kołują. Płyną nad nami. Przed nami. Z boków.
I strach brodaty zgrzyta za kurtyną mroków.
A my wbici w przestrzeń jak gwoździe w twardym murze
Podnosim ręce słabe i oczy mamy szczurze.

CZESŁAW JANCZARSKI

LATO NA WSI

Kot wróblom w oczy nie śmie spojrzeć prosto:
na płocie czeszą piórka młode żółtodzioby,
suszą skrzydełka ranną rosą nawilgłe.
Z lasu do wioski
przyleciały wilgi
na wiśnie lutowe.
I czemu tu się dziwić,
gdy wiatr jest jak opowieść,
gdy taka wkoło zażyłość sąsiedzka i kolorowa.
Tutaj — patrzymy jak cisza pnie drzew omszyła
i w powietrze kwitnących lip
rzucamy myśl niezawiłą:
coś z lata mieć w sobie!

ALICJA IWAŃSKA

NA KRYWANIU

Na śródskalistym szczycie
    życia nasze się zmieszczą...
— Myśli twe przyćmię skrycie
    chmurką najświeższych pieszczot —
— moje
rozbiorę z sztucznych, szeleszczących pojęć
    spoję lepką żywicą,
zielonością przystroję!
— Może orły, sokoły,
    anioły
nad tym szczytem obejmą straż
    także z myślą nie starczą, nie zmarłą,
z której słońce barwy otarło —
— z myślą krwistą,
    świeżą,
strzelistą,
prostą jak świerk na maszt...
Bóg nadchmurny nad tym szczytem rozkaże
    śpiewać śmiesznym podniebnym ptakom,
aby górsko śmiech nadziemny rozbłysnął,
    aby serce z kwietnych wyrwać marzeń,
od ust odjąć i do ust przycisnąć
    fioletowe kwiaty łomiaku...

STANISŁAW PIĘTAK

MIT MŁODOŚCI

1. Długo ramiona i piersi próbowały ucieczki z ciemnej izby.
Żółty sufit osuwając się ominął mnie i mój krzyk.
Czarne plamy okien, plamy świateł —
zapach końskiego potu wiruje przy włosach,
na pyłkach muzyki drży.
Spazm bolesnej rozkoszy już cichy, coraz cichszy.
Przepłynął czas jak ciemność.
Ciała tańczących dziewczyn dla mojej rozpaczy
wrastały w drzwi.

2. Zmęczenie, zmęczenie przytłaczające jak czarna dal.
Jakże długo musiałem tu iść!
W śnieżycy leżą domy i drzewa,
płynie płot, niziutki płot.
Można jak w dłoń zaczerpnąć do warg chłodu,
tylko spazm rozpaczy podpływa wyżej,
dławi w gardle jak gąbka słodkiej krwi.
Jeszcze krok, tak ciężko podźwignąć nogi.
Oto znowu przybyły płateczki muzyki niematerjalne jak wiew,
gałązki śniegu spadają jak świece: śmierć, śmierć...
Ustami tak nagle targnął strach bezbrzeżny jak wołanie w mroku
i dłonie ciszej od krwi potoczyły się do śniegu.

3. Pot — to włosy tańczących dziewczyn pachną końskim potem...
Była to pierwsza myśl, gdym się ocknął.
Cicho wstawało serce jak płomień w białej dłoni.
Nie znaczył już nic czas, nie było rozpaczy,
tylko taką żałosną pustką zamarzał śnieg na mokrej skroni.
Drzewa i domy spłynęły w zamieć potem niżej
i tyle podeszło do sinych ust tanecznych obcych cieni.
Wstałem, dźwignąłem mądrość mroku —
spotkaną poraz wtóry zadumę śmierci na ziemi.

4. Wlokły się pasma skrzypiec jak zaprząg zabłąkanych za wsią
w śniegu koni.
Domy kuliły się przy drodze, tylko ominąć je było coraz trudniej.
Dwa kroki — przystanek — dwa kroki...
Droga wydłużała się smugami drzew, nie było dla nocy brzegów.
Więc to tak... tak samotnie spływa się w cień
jak struga krwi do śniegu...
Nowe drzewo, jak dobrze oprzeć siebie i serce
o wstrząsane wiatrem drzewo.
Biała droga — wszystko jest wzniosłe wokoło
jak pożegnanie dłoni.
Ręce, dźwignijcie radość szlochu —
przeżycie pędzi za nami zapachem potu dziewczyn,
białemi końmi.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

ROZWALAJĄ PŁOT DREWNIANY

1. Rozwalają płot drewniany,
Siwiejący w wiatr szparami,
Płot drewniany, pochylony, stary płot,
Ale płot, ale Płot!

Ludzie twardzi, wynajęci,
Raźno wzięli się do dzieła,
Rozwalają, łamią deski, burzą płot,
Niszczą płot, stary płot,
Który przetrwał tyle słot,
Tyle słot.

Gną zmurszałe słupy, zdrowo gną,
Aż się ziemia wzdyma krwią,
Burą krwią i runią trawy.
Rozwalają, rozczepiają, podpiłują,
Młotem hukną.
Ówdzie błyśnie gwóźdź sierota.
Każde włókno
Tego płota
Jest bezwstydnie obnażone.
Patrzcie, patrzcie, zwykły płot idzie precz.

2. Już ostatnią chwieją deską,
Podważają słup ostatni
Weseli niszczyciele.

Po tej i po tamtej stronie
Wiatr przestrzenią lśni niebieską,
Daleką, nieobjętą, nienazwaną.
— Będzie jeden wiatr i przestrzeń
W szumnym śpiewie swych uniesień.
Jedna tylko, och, jedna przestrzeń.
Kiedy zniosą stary płot,
Ziemię ładnie wyrównają,
Nie zostanie nawet znaku.

A ja nie chcę z dwu stron jednej,
Takiej sobie, bez różnicy,
Bez tła, cienia i granicy,
Nie chcę, nie chcę.
Zdrowi ludzie, niszczyciele — snadź wandale,
Ich nie wzrusza stary płot,
Niedołężny stary płot,
Płot choć w słocie i w upale,
Ale Płot, ale — Płot.

Protestuję!

HENRYK DOMIŃSKI

WSPOMNIENIE

Miasto gdzie dzieciństwo wschodziło śmiertelnem zbożem
namiotem murów opada w pachnące kosze łąk
po starych pustych ulicach stracone lata rozwiozę
miastu je podam do rąk

W przedwieczerz wygasłe słońce skrzydła rozpina jak cietrzew
dzwoni o stopnie katedry krzyków dymiących grad
stąd pomarszczonym zaułkom idę naprzeciw
młodość na barkach kołysząc dźwignię 22 lat

Do bram wilgotnych, do skamieniałej historji na prostokątnych tablicach
niosę pielgrzymie kroki i rosnę spojrzeń goryczą
wstrzymuję czas w dawnych napisach
patrzę milczę liczę

Ileż to razy Lublinie usypiając w chomątach mgły
harmonje z przedmieść obdartych
przeciągłą melodją szły
na okien czerwone warty

wiosenny śpiew zieleni oczy kobietom rozszerzał
które po parkach się snuły (owady z nieoranych skib)
postój dławionych pragnień piersi oddechem odmierzał
niósł się nad ulicami z mocnym zapachem lip

Wcześniej jeszcze nim mogłem pamiętać goniłem pociągów pęd
przesuwając różaniec pejzaży za ciemnych tęsknot brwi
później w samotnym pokoju znieruchomiały jak pręt
gasłem pod nawałnicą dni

Ale gdy księżyc zduszony więzień gwiazd
długo się tarzał po polach o litość błagając psy
szedłem z dalekich miast
do ciebie Lublinie po sny

szedłem
wywoływać twe imię ojcze z kwitnących wrzosów na mogiłach
aż wreszcie łuna porannych zórz
ciebie księżyc i mnie wyzwoliła
od magnetycznych mórz

TADEUSZ BOCHEŃSKI

LOTNIK

Zgrzyta zębami
śmierć.
Nie ukąsi. Nie może.

Oczy: ocean nieba.
Gniotą błękitem, sieką jak noże
sieczną władzą przestrzeni.

Żebra śmierci sypią się wdół.

Bijesz: serce nieba.

JAN KOTT

OCZY OTWORZYĆ

I. Ulicami krążyło niebo
fiołki pachniały zmieszane z rezedą
ptaki ustom malowanym na karmin
nuciły radosne foxtroty
— jak zwykle na wiosnę w Warszawie

Kroki tłumiły kwiaty deptanych kasztanów
w poplątanych gałęziach gubiły się myśli
Świat u stóp twoich zamierał w spojrzeniu
Spokój otulał nas miękko jak rankiem miasto mgły

Poco ciszę nakłuwać słowami
ręce ciepłe były i dobre
— nie pytać
Puszystych oddal obłoków jak niegdyś dymu spirale
bałem się w palce chwytać
i z nieuchwytnych szarych lśnień i kółek
wróżyć
— jutro

Fiołki na rogach ulic rozstrzelane wiosną
za głośno o czemś mówiły

Włosy były zbyt sypkie
włosów jasnych za wiele
ktoś z farb kolorowych pastylek
układał bajki zbyt dziwne
ktoś usta ciepłe i cierpkie
— czereśnie rosypał na trawie
usta były zbyt ciepłe
równie słodkich czerwonych czereśni
nigdy całować nie będzie

Fiołki darłem na strzępy
pęki fiołków rozdartych jak usta
bolały
Twarz gorejącą jak w trawie zielonej
w jasnych włosów rozwiane naręcza
— otulić

Głuche podwórze przez okno świat zamykało murem
sufit kołował zniżał się i dusił
Jakżeż krokami ściany oddalić od siebie
krokami zmierzyć pokój
— siebie
pulsem bijących tętnic
Mur trzypiętrowy za oknem walił się na mnie i tłukł
— u r a d z i ć

Nocą
gwiazdy przemocą zamieniałem w słowa
w rytm przyśpieszony serca pulsowały zdania
poprzez okna zabite na głucho deskami
gwiazd spadających ciężar
czułem
Noc chciałem zgubić w ulicach
jak niegdyś wiosnę w pąkach próbowałem zdusić
murem strasznych kamienic
powoli w niebo wrastałem
z pogiętych rynien deszczu metaliczne krople
okna i kroki
liczyłem

Gwiazdy na głowę spadały
niebo kreśląc na ukos
— miesiąc był lipiec

Za miastem poranek wyrastał we mgle
pola rosły w horyzont
Trawy darłem na strzępy
— wargi w wilgoć zanurzyć
ustami ziemi pełnemi
trawy gładkiej i miękkiej jak — — —
— jakżeż wtedy nie krzyczeć

II. Po horyzoncie wodziłem rękoma drżącemi
piłem słońce spiekłemi od żaru wargami
przez palce toczył się piasek
o ziarnach równych i sypkich

Czasem wieczorem tylko horyzont zanadto daleki
wiatr chłodny w twarz uderzał
na ustach zapach soli

Fale jak myśli tłukły o brzeg wspomnieniami
szare spirale dymu stare wróżyły bajdy
obłoki gładkie i białe obco wisiały na niebie

Fale rozbite do nóg się kładły hucząc złamane
fale o brzeg waliły fale ciemne jak oczy
— nie myśleć

Niebo wrastało w morze
morze wrastało w ziemię
imię jej —
i datę dnia
który niebo zwarciem warg przełamał na dwoje
na piasku kreśliłem bez słów

Piasek gładki i niemy w twarz.

Wino falistą linją zbliżeń i oddaleń
— kołujący widnokrąg wokół ręki obwinąć
co wieczór płem jak wieczór
Na twardych łukach piersi opierając wargi
złotą falistą linją — linją horyzontu
a może gładką linją — linją biódr i ramion
— noce łączyłem z ranem

Po winie usta są słodsze
— czereśni nie było nad morzem

STANISŁAW TURCZYN

RANO W GDYNI

Kogo wołam:
miasto się toczy zgóry wąwozem,
a potem zaczeka w porcie, aż go przewiozą
na drugi brzeg,
na Hel:
wstęgą się skraca horyzont dziś biały, bo może wesoły,
że fale się łamią skrzydłami mew,
fale, jak srebrne blachy.

Rano o czwartej słońce już stoi na maszcie.
Wcześniej, jak echo śpiewa samotny żagiel.
Czemprędzej tym ptakom od brzegów odpłynąć rozkażcie,
bo czas jest cichy.
Czas trzeba w pośpiechu przynaglić.

Ty choć.

Ty choć wspomnienie, spiętrzone jak maszt,
daj się dziś ku mnie radośnie przywołać.
Brzegi się piętrzą wyżej, nie kończą się jeszcze w Orłowie.
Tu jeszcze ciche w lipcu źdźbła żyta nie mogą wstać.

Iść każ.

Powiedz,
że idą w radosnej
kośbie
kroków
żniwa.

Długo tu jeszcze trzeba pozostać.

Pozostać. By wszystkim, wszystkiemu zagrozić,
że trzeba się bać tych w stal fal dzwoniących obłoków.

Nie trzeba nazywać.

RECENZJE

JÓZEF ŁOBODOWSKI. ROZMOWA Z OJCZYZNĄ. Bibljoteka poetycka „Dźwigarów". Lublin — Warszawa 1935. Str. 61 i 3nl.
Autor przewiduje tak w końcowej notatce: „Ponieważ weszło już w nałóg ocenianie twórczości poetyckiej na podstawie doraźnej korzyści polityczno - partyjnej, niewesołe perspektywy oczekują i ten tomik. O wydaniu jego zdecydowało przekonanie, że nawet najbardziej pesymistyczne i rozpaczliwe wiersze są donioślejszym dokumentem epoki, niż wszystkie agitki, ważące właśnie tyle, co czerwony trasparent, zawieszony w nocy na dachu".

Nie bez powodu jest to uprzedzanie krytyki partyjnej. Łobodowskiemu chodzi tu właściwie nie o krytyków lecz krytykierów pewnych odłamów prasy lewicowej, która przedstawia się pod tym względem nadwyraz nędznie. Rozpowszechnił się ostatniemi czasy ponury zwyczaj nazywany po „bohatersku" demaskowaniem. Nędzną tę zabawę prowadzą w imię proletarjatu samozwańczy „proletarjusze" z bardzo burżujskich restauracyj. Są to zazwyczaj młodzi burżuje, wtajemniczający się w marksizm, którym uśmiecha się zrobienie interesu na towarzyszu mauzerze. Tacy to proletarjusze, bawiąc się w „robotników pióra", „demaskują" wszystkich po kolei jako dywersantów. Łobodowski, jako wydawca też niby - proletarjackich „Dźwigarów", — a jakże! — został „zdemaskowany" przez kilku bogatszych żydków z Warszawy. Ale to przecież nie są krytycy, i Łobodowski - poeta poważnie traktować ich nie może. Pewnie, że z urzędowego punktu widzenia t. zw. proletarjackiej poezji rewolucyjnej, pesymizm Łobodowskiego uznany będzie za całkiem passeistyczny. Jakiś zawiadowca poetów z Kremla zakazał pesymizmu. Nie wolno! Autor „dytyrambu" na cześć kontrrewolucyjnego generała Korniłowa nie może liczyć na uznanie krytyków mierzących poezję sprawdzianami agitacyjnemi.

Charakterystyczną cechą wierszy Łobodowskiego jest dwubiegunowość nastrojów: nurzanie się w nędzy dzisiejszych stosunków społecznych w pełnem poczuciu ich beznadziejności i odskok w krainę fantastyki, raczej pseudofantastyki. Widocznie zbyt natężona uwaga, boleśnie napięta struna odczuwania współczesności wymagała odprężenia, i wtedy poeta dawał wyraz „odpoczynku" w „poematach barbarzyńskich" — na epicki sposób formowanych mirohładach. Czasami taka dwubiegunowość nastrojów łączy się w jeden poemat, jak „Powrót Allaina Gerbaulta". Ucieczka w świat fantastyki Rosny'ego wydaje mi się mniej płodna, czasami naiwnie mayne-readowska, jak w „Głodzie" ów „starszy brat, Syn Księżyca - Lew płowogrzywy". Dwa inne bieguny: współczesność — czasy dzieciństwa, gorąco związane więzienną kratą pesymizmu, wyzwalają właściwy liryzm („Sobie samemu", „Do ojca", „Do Nikołaja Salutina wiersz czuły"), dający najpiękniejsze zapewne karty książki. Tam natomiast, gdzie epickość zagłusza liryzm, jak nprz., w „Nocy na Wołyniu", ostateczna czystość utworu pozostaje trochę nieokreślona. Poemat „Noce lubelskie" z punktu widzenia poezji społecznej jest dokumentem najbardziej dokumentalnym. Wiersze retoryczne, świetnie sharmonizowane, mimo wyraźnego wpływu rytmiki rosyjskiej, posiadają jakiś podźwięk spiżowy, zwłaszcza pieśń o wrogu „Generał Korniłow".

Zapewne wpływologowie odnaleźliby w tym tomie niejeden podźwięk, niejedną sugestję literacką poprzedników. Ale trudno o tem mówić napewno. Mam wrażenie, że „Słowo o Dzierżyńskim" wiąże się jakąś nicią ze „Słowem o Jakubie Szeli" Jasieńskiego, może bez „Pieśni o Mackensenie" Lechonia nie byłoby „Generała Korniłowa", może bez wierszy Jesienina nie powstałyby „Łobuzerskie".

W każdym razie „Rozmowa z ojczyzną" należy do tych książek, dla których krótka recenzja jest tylko dotknięciem zagadnienia. Książka ta, pełna prawdziwej poezji, wyszła tylko w 120 egzemplarzach, poprostu dla przyjaciół i krytyków. Czy sprzedano chociaż kilka egzemplarzy? Czemu niema nabywców chociażby na skromną drugą setkę? Gdzież bibljoteki nauczycielskie, które przecież wartościowe dzieła literackie bieżącej produkcji powinny nabywać dla nauczycieli języka polskiego? Gdzież wizytatorowie, którzyby polecali zarządom szkół nabywanie tych dzieł? A czyż ani jeden polonista ze skromnej coprawda pensyjki nie zakupi raz w roku tomiku współczesnego poety? Jakaś, u licha, niewspółmierność. Każdy maturzysta zreguły doskonale orjentuje się w współczesnej produkcji węgla, cukru, bydła, zna konstytucję i ordynację wyborczą napamięć, wie o współczesnych zdobyczach fizyki, i to jest dobrze. Lecz ten sam młodzieniec nic nie wie o współczesnej poezji, i to jest bardzo źle. A najczęściej nie wie też i jego nauczyciel, i ta prawda jest najbardziej nieprawdopodobna.

ROMAN KOŁONIECKI. BALLADA O PIŁSUDSKIM. Warszawa 1935. F. Hoesick. Str. 34 i 2nl.

Conajmniej dwadzieścia lat nieustannie podejmowanej pieśni polskiej o Piłsudskim przyniosło potężne zwały prób. Materjałem „poetyckim" możnaby zapełnić mnóstwo tomów, których waga należy do dziejów nastrojów społecznych. Lecz jeden wiersz Lechonia zapewne przeważy wszystkie

te tomy, i jak dotychczas — niewiele utworów możnaby do niego dołączyć. Roman Kołoniecki podjął więc bardzo trudne zadanie. Dać poemat o Piłsudskim, chociażby nawet „balladę", to zamiar ambitny i niebezpieczny. Bo tu przychodzi do głosu wołanie o syntezę. Trudno jednak domagać się syntezy od utworu, który jest właściwie epitafjum, pisanem na gorąco, pod pierwszem wrażeniem śmierci i pogrzebu. A jednak ta konieczność syntezy nieustannie przewija się jakby cieniem poprzez karty poematu, domagając się zadośćuczynienia. Autor odczuwa tę konieczność, a chociaż w swoich warunkach nie mógł jej sprostać, dał jednak jakby półgłośny szept, nastrojową kameralnością skłaniający do snucia rozmyślań nad życiem i śmiercią Józefa Piłsudskiego.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI. DALEKIE ŁĄKI. Toruń. Towarzystwo Bibljofilów im. Lelewela. 1935. Str. 48 i 6 nl.

Autor należy do poznańskiego klubu poetyckiego „Prom", grupującego się przy czasopiśmie o tej samej nazwie. Debjutował w 1932 r. tomikiem „Badyle". Omawiana obecnie książka składa się z cyklów: „Niepewne toki", „Odkryte slady" i „Zapomniany klomb". Wierszom tym nie można odmówić staranności. Widoczna czujność w zakresie wykończenia formalnego dobrze świadczy o przebytej dotychczas drodze poety. Dobór materjału treściowego, niemal programowy, skupiony przeważnie przy zjawiskach sielskich. Umiar w rozporządzaniu tym materjałem, umiejętność odkrycia motywów jeszcze niezużytych idzie tu jednak w parze z niezawsze fortunną stylizacją, przypominającą czasami Zegadłowicza, czasami podobną do ballad ludowych Bronisławy Ostrowskiej, czasami znowu wpadającą w ton leśmianowski. Stylizacja, sprowadzająca się znów do pieśni ludowej, z trudem da się zaliczyć do pracy twórczej: „Deszczyk pada, droga śliska, zadymione kartofliska". Natomiast wrażenie świeżości przynoszą te fragmenty, które powstały z bezpośredniej obserwacji, nawet zestawienia opisowe złożone najprostszym sposobem wyliczeń:

Renety złote i szare
Zwiewnym jaśnieją czarem.
Landsberskie duże czerwone,
Oliwki, pływki, melonek,
Aż czarne buksztaty heskie
I trampy prawie niebieskie,
Czubatki, prosięce, winne
I antonówki rodzinne.

M. CZERKAWSKA. LUDZIE I LIŚCIE. Kraków 1935 r. Str. 82.

Czwarty zrzędu tom poezyj Maryli Czerkawskiej. Pierwszy jej tomik „Poezje z lat 1914 - 1915" mógłby przypomnieć się zbieraczom poetyckich przyczynków do okresu walki o niepodległość. Drugi: „Zielony cień" w całości poświęcony tematyce roślinnej. Trzeci: „Sieci na wietrze" obejmuje tematy morskie i dziecięce. „Ludzie i liście", zgodnie z tytułem, skupiają się około motywów sielsko - leśnych, przyczem poetka próbuje tu i ówdzie podjąć tematy społeczne, trochę nieśmiało, wpatrzona w skromny materjał obserwacyjny jakiegoś zakątka, w którym żyje wśród swoich ludzi i liści. Technika wierszopisarska — skromna, gdzieniegdzie widać, że poetka pra-

cuje nad zdobyciem własnego wyrazu. Nie wszędzie. Czasami pisze, jak Lenartowicz: „Powiew leśny, świerszczyk polny, strumyk w mowie nieudolny". Czasami, jak Konopnicka („Romankowa"). Trochę konwencjonalnej, tyle już razy wytartej młodopolszczyzny takiego gatunku: „Ogród, co kwitnął bajki kolorowej czarem". To są minusy, nawet wielkie minusy, passeizm. Ale są i plusy. Kilka ładnych miniaturek, nprz. „Syn", „Krata", „Wyrok", „Odjazd". Albo „Pomruk" — sugestywnie ujęty fragment nastrojów z Małopolski Wschodniej. Gdyby było więcej podobnych drobiazgów, przeciętna tomu znacznie podniosłaby się.

STANISŁAW CZERNIK.

POEZJA W CZASOPISMACH

POPROSTU — dwutygodnik literacko - społeczny — zaczął wychodzić w Wilnie pod redakcją Henryka Dembińskiego, Anatola Mikułki i Jerzego Ordy. Pismo zamierza „stworzyć wolną trybunę dla każdego człowieka pracy — niezależnie od takich czy innych jego przekonań politycznych". Tego rodzaju stawianie sprawy, coraz częstsze obecnie, być może wskazuje, że zbliżamy się do okresu syntezy, że wyzwalamy się z pod wpływu destrukcyjnej magji zamkniętych grupek. W nr. 1 Anatol Mikułko przedstawia „Rozkład awangardy". Autor twierdzi, że awangarda nie była szkołą ani kierunkiem literackim, lecz raczej frontem walki młodych ze starymi. Mimo, że nowatorowie nie zdobyli się na szczelny system estetyczny — atak był silny. Ostatnio zatrąbiono na odwrót. Ci, którzy zdążyli się już wybić, przeszli do obozu Skamandra. Pozostał jedynie Przyboś i najmłodsi. Sam jednak proces formowania się i rozkładu awangardy okazał się twórczym — konkluduje Mikułko. W nr. 2 „Poprostu" fragment poematu Czuchnowskiego „Śmierć i powódź".

PROM, czasopismo niefortunnie nazwane miesięcznikiem, jeżeli w trzecim roku wydawnictwa wychodzi dopiero numer dziewiąty. Ale to drobiazg. Wiersze Brodowskiej, Napierskiego, Psarskiego, Morskiego, Nicolai'ego Przyłuskiego i Herberta. Prom jest maleńkim klanem poznańskim, zdaje się ekskluzywnym, bodaj pseudo-elitarnym, i przez to przypomina tak niedawne jeszcze zamknięte kapliczki. Chociaż okres kapliczkowości należy już coraz bardziej do czasu przeszłego i nie pozostawia po sobie zbyt pięknych wspomnień, kapliczce „Promu" trzeba przyznać, że w swem odosobnieniu umiała być cichą wobec zgiełku i miłą w porównaniu do pompatycznych pretensyj innych klanów. Takie nabożeństwa majowe do muz! W omawianym zeszycie najlepsze wrażenie, poza utworami gościa — Napierskiego sprawia „Na skraju lasu" Morskiego i „Brzezina" Przyłuskiego. Próbki prozy — nieszczególne. „Promowi" brak teoretyka.

SKAMANDER, zeszyt sierpniowy (61) zawiera wiersze Zegadłowicza Łobodowskiego, Iłłakowiczówny, Bąka, Brzechwy, Rogowskiego, Karpińskiego, Łęczyca i Jastruna. Zwracają uwagę Światopełka Karpińskiego próby odświeżenia sonetu, który w ostatnich czasach beznadziejnie zmarniał. Bardzo trudny eksperyment. Najlepiej udał się w „Zwierzętach i kwiatach". Karpiński działa przez skondensowanie wyrazu i gromadzenie nieoczekiwa-

nych zestawień. Wyszły z tego dosyć świeże mirohłady sonetowe. Mniej udał się „Hel" i „Słowo o nicości", tam gdzie zakradła się retoryka i trochę skamandryzmu z przed piętnastolecia („I czekamy we frakach na nasze odjazdy"). K. W. Zawodziński ogłasza „Rzut oka na współczesną literaturę polską". Jest to przekład szkicu umieszczonego przed kilku laty w praskiej „Slavische Rundschau". Przyzwyczajeni do dziwnych recenzyj Zawodzińskiego, w których jakże często i jakże nieoględnie traktuje poetów, jak „konnych czwartaków", czasem po wersalsku, czasem po kostromsku, to znów udziela nagan cenzorom za niekonfiskowanie wierszy, a Akademji Literatury — za udzielanie stypendjów, — z przyjemną ulgą tym razem czytamy wolny od podobnych extra-ordynaryjności, poważnie chociaż zbyt jednostronnie ujęty szkic, — i mimo wszystko żałujemy, że Zawodziński tak często pisze na kolanie. Przytaczamy ogólny sąd Zawodzińskiego o liryce powojennej: „Poziom liryki powojennej nie znajduje sobie równego w całych jej dziejach w Polsce, a w chwili obecnej równego współcześnika w Europie".

Zeszyt wrześniowy (62) poza wierszami Rogowskiego, Świrszczyńskiej Karpińskiego, Janty-Połczyńskiego, Hertza, Staffa, Jastruna, Sowińskiego, Szemplińskiej, Jasnorzewskiej, przynosi rzeczową, poważną rozprawę Fr. R. Siedleckiego „Z dziejów naszego wiersza". Szkoda tylko, że cytaty jakby specjalnie dostosowane do czytelników „Wiadomości Literackich". Pragnęlibyśmy również posłuchać wywodów Siedleckiego o rytmice poetów awangardy, a nasuwa się też pytanie, czy i jaką rolę odegrała awangarda w osiągnięciu „złotej epoki syntezy" wiersza polskiego. Będzie to zapewne — mamy nadzieję — w księdze, która oby najrychlej zastąpiła Łosiowe „Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju".

ZET w nr. 7 (79) przyniósł wiadomość o tragicznej śmierci Bronisława Ludwika Michalskiego. Pisze Antoni Madej:

Poeta Bronisław L. Michalski umarł dnia 20 lipca b. r. Tą lakoniczną notatką dziennikarską, temi słowami odczytanemi z klepsydry, niewielu było przejętych i zaskoczonych. Dzisiaj bowiem — w czasach otępienia i obojętności moralnej, w czasach wyraźnego ślizgania się po powierzchni życia, w czasach merkantylizmu i pogoni gorączkowej za intratnym interesem — śmierć poety, i to poety mało znanego, niebardzo wzrusza... Bronisław L. Michalski urodził się w Małopolsce pod Jarosławiem. Studja uniwersyteckie odbywał we Lwowie. Nie skończywszy ich z powodu tragicznych przejść, osiada w Lublinie. Pierwsze wiersze drukuje w kolumnie poetów w „Zecie" w r. 1932 i w „Trybunie" lubelskiej. W tym samym roku wydaje w Lublinie nakładem Związku Literatów pierwszy tomik swych poezyj p. t. „Wczoraj". W roku 1934 wyjeżdża do Warszawy i tu obraca się wśród dosyć licznej grupy poetów lubelskich, którzy podobnie jak Michalski szukali w stolicy punktu oparcia dla swego życia i swej twórczości. Tu do druku przygotował drugi tomik poezyj p. t. „Spotkanie z brzozą". Wyjdzie on w wydaniu pośmiertnem nakładem Związku Literatów w Lublinie. Pierwszy 40 stronicowy tomik poezyj Michalskiego zapowiadał poetę o własnym artystycznym wyrazie i własnej poetyckiej postawie. W tradycyjnych, regularnie wiązanych zwrotkach dawało się odczuć organizację poetycką o pełnej świadomości swego rzemiosła. Mocne rymy,

śmiała motafora, rozległy rytm i szeroki oddech wiersza mówiły o umiejętnem operowaniu środkami artystycznemi. Swoiste zabarwienie uczuciowe składni, wizyjny koloryt frazy świadczyły o intensywnej treści duchowej poezyj Michalskiego, podkreślały wyobraźnię poety, niepozbawioną sugestywnej magji przekonywania czytelnika.

NOTY

KONKURS POETYCKI. Przypominamy, że ostateczny termin nadsyłania utworów na konkurs ogłoszony w nr. 4/5, upływa 1 października. Skład jury konkursu uległ pewnej zmianie i przedstawia się obecnie następująco: Stefan Napierski, Stefan Flukowski, Stanisław Czernik.

BIBLJOTEKA „OKOLICY POETÓW". Cykl wydawnictw poetyckich „Okolicy Poetów" otworzy nowy tom poezyj Stanisława Piętaka „Legendy dnia i nocy". Nie potrzebujemy polecać naszym czytelnikom autora „Legend". Jego utwory umieszczone w naszem piśmie dają dostateczne wyobrażenie o właściwościach jego talentu. Pragniemy udostępnić przyjaciołom naszego pisma nową książkę, oddając ją po cenie kosztów drukarskich (1, 15 zł. z przesyłką). Cena księgarska książki będzie znacznie wyższa gdyż wydawnictwo będzie posiadać charakter do pewnego stopnia bibljofilski i wyjdzie w bardzo ograniczonej ilości egzemplarzy. W ten sposób uprzystępniona cena wprowadzona będzie tylko w okresie druku książki, t. zn. do połowy października, potem obowiązywać będzie zwykła cena księgarska. Zwracamy uwagę, że książka poetycka jest u nas zreguły wydawnictwem deficytowem. Liczymy się z tem, i innego wyniku nie przewidujemy. Sądzimy jednak, że podobny stosunek do wydawnictw poetyckich powinien się skończyć. Wartościowa książka powinna znaleźć przynajmniej tylu nabywców, by jakotako pokryły się koszta jej wydania. Oddając książkę Stanisława Piętaka po tak niskiej cenie, apelujemy do wszystkich miłośników poezji i poetów - kolegów, by stwierdzili, że nasz stan kulturalny pod tym względem nie przedstawia się jeszcze beznadziejnie. Prosimy o poparcie naszych bezinteresownych starań. Prenumeratorzy mogą nadsyłać wpłaty przekazami łącznie z prenumeratą, można też przysyłać znaczkami pocztowemi w liście do redakcji. Na przekazach należy zaznaczyć cel wpłaty.

ERRATA. W nr. 4/5 w artykule Przybosia na str. 10 wiersz 22 zamiast „gna" powinno być „gra". W wierszu Hofera na str. 26 zamiast „wchodząc" powinno być „wychodząc", a zamiast „zabłąkane" — „zbłąkane".